

# Kronika tygodniowa.

Listopad dobiega już do końca, a zima, która się zaczęła właściwie jeszcze w październiku, ani myśli o pożegnaniu się z nami. Sytuacja jest po prostu, jak jedni piszą, katastroficzna, według drugich katastrofalna. Tak, czy owak, na jedno wychodzi. Z wyrzutem patrzymy na piec, choć on temu nie winien, że jest zimny i przeklinamy górali, że nas w błąd wprowadzili.

Najgorzej, że niema nawet nadziei, aby się sytuacja mogła szybko poprawić. Włosknęła to z wywiadu sprawozdawcy paryskiego *Excelsiora* o dyrektora tamtejszego obserwatorium, więc fachowca, znającego się chyba na temperaturze, meteorologii i innych rzeczach, które jego są.

Pan ów, tak przynajmniej podaje jeden z naszych dzienników, oświadczył, że obecne mrozy i śniegi w całej Europie są następstwem wiatrów północnych i północno-wschodnich, wiejących bez żadnej przeszkody od strony Rosji, której zachodnią granicę ma oznaczyć dopiero, jeśli nie konferencja pokojowa, to w każdym razie jej spadkobierczyni Liga Narodów.

To mi się jednak w głowie nie może pomieścić. Wiatry, jak się sam o tem przekonałem, wieją w samej rzeczy z tamtej strony, ale, o ile wiemy, jest tam nawet bardzo gorąco (dzięki Leninowi, Trockiemu i spółce), a wiatry są zupełnie zimne.

Na zapytanie sprawozdawcy, kiedy się można spodziewać zmiany na lepsze, to jest ocieplenia, odpowiedział dyrektor z zupełną stanowczością, że dopiero wtedy, gdy się zmieni kierunek wiatru, a miejsce północnego i wschodniego zmięnie wiatr koalicyjny, to jest zachodni lub południowy.

My w Galicyi o południowym wiatrze nawet i marzyć nie możemy. Dawniej wstrzymywały go Karpaty, dziś ponadto nie przepuszczają go Czesi przez Słowację, łapią podobno do beczek i wysyłają zamiast węgla do swego kraju.

Dalej badał sprawozdawca, kiedy mniej więcej możemy się spodziewać zmiany kierunku wiatru, na co dyrektor najspokojniej odpowiedział, że nie wie, bo to nie od niego zależy, nawet Najwyższa Rada nie ma na to wpływu, a stosunki atmosferyczne ureguluje dopiero Liga Narodów.

Chcę meteorologiem nie jestem i w tym kierunku mam tylko domowe wykształcenie, potrafiłbym powiedzieć jota w jotę to samo, co pan dyrektor. Moje prognozy, zwłaszcza co do opadów deszczowych są zwykle niezawodne, a to dzięki odciskom, zastępującym mi najzupełniej barometr. Nie pozbyłbym się ich nawet za grube pieniądze.

Nie pozostaje nam więc nic innego, tylko oczekiwanie, szybko się odmieni kierunek wiatru, co przecież kiedyś musi nastąpić. Ciągłe chyba z jednej strony wiać nie będzie, bo ma się wreszcie sprzykrzyć.

Ala w tem znówu sek, że, jak dodaje od siebie nasz domorosły meteorolog, donoszący o owym wywiadzie, na nie się to nie przyda, choć zacząłby wiać wiatr zachodni, lub nawet południowy, gdyż Niemcy zamarznąła i obfity na niej pokład śniegu, nie do uszcza do podniesienia się temperatury, czyli, innymi słowami, musimy być na to przygotowani, że będziemy dalej marznąć i czekać na węgle.

Słusznie Jokay nazwał je „czarnymi dyamentami“. Pokazuje się, że pokrewne są nie tylko pochodzeniem i rzadkością, ale też i ceną. Przeciętny śmiertelnik na zakupno cietnara może sobie pozwolić tylko w nadzwyczajnych wypadkach i z uszczerbkiem dla innych pozycji budżetu domowego. Regulujemy go, niekam pan Billński polskie finanse, ale jakoś nie możemy mu dać rady.

Więc też może i lepiej, że węgla brak. Gdyby były, a nie mogło się ich kupić, z powodu, jak wyżej, byłoby daleko smutniej.

Jakie zaś znaczenie mają węgle w życiu domowym, tego dowodem odezwanie się pownego jegomościa, którego zapytano, jaki rodzaj śmierci byłby dlań najbardziej pożądany. Odpowiedział, że chciałby zacząć. A gdy dalej badano, jakie powody skłaniają go do tej decyzji, odparł:

— Ba wiedziałbym przynajmniej wtedy, że mam węgle!... Łatę po różnych referentach i nie referentach, używam najrozmaitszych protekcji, wszystko na nic! Nawet kartki zdobyć nie mogę!... Doprowadzony do ostateczności, postanowiłem starać się o rękę córki pownego węglarza, sądząc, że będąc w ten sposób u niego mi się zdobyć te skarby... Gdy się ojciec oświadczył, ten odpowiedział, że córkę da, posag wypłaci zaś w walucie koronowej. Zwróciłem jego uwagę, że wolalibyśmy to zamienić na węgle. Zapytał, czy mam kartkę z magistratu, a gdy odmówiłem, że nie, zakonkludował: „To i węgla pan nie dostanie!“... Wobec tego zerwałem z tą narzeczoną i nie mam ani żony, ani węgla!...

Kronikarz ma, niestety, Weronkę, ale nie ma węgla!

Sprawą węglową zajmują się dziś wszyscy, poruszył ją nawet w swym *exposé* pan prezydent Paderewski, ubolswając, że Warszawa nie ma szem palić. Oświadczył, że w kopalniach węgla jest dość, a brak ich chwilowy w stolicy spowodowany został niedołęstwem kilku urzędników kolejowych, ale że będzie w najbliższym czasie uzupełniony. Tylko o Kraków i Małopolskę nikt się nie troszczy, choć mamy jakiś inspektorat węglowy.

Obiecują wprawdzie, że dostawą węgla dla nas zajmie się „Zagłębie polskie“, ale, zanim się to stanie, tymczasem Wisła zamaraźnie, wobec czego będziemy musieli czekać do wiosny, a tymczasem powtarzać sobie: „Obiecał pan kożuch, ciepło jego słowo!“...

Już to obletnie nikt nam nie żaluje. Każą tylko czekać cierpliwie, tak, jak dyrektor paryskiego obserwatorium na zmianę kierunku wiatru...

I weteranom z roku 1863 kazano czekać na emeryturę, zapewniając, że odbywa się już ich rejestracja i sprawdzanie, o ile są do jej poboru uprawnieni, a tymczasem bieda zagląda im coraz natrętniej w oczy. Niedawno jeden z nich raznił się w Warszawie w nurty Wisły, prawdopodobnie nie z nadmiaru szczęścia... Gdy ustawa wejdzie w życie, prawdopodobnie żadnego z uprawnionych do poboru emerytury nie zastanie już przy życiu!... Spełni się na nich przysłowie: „Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje!“...

I tak jest ze wszystkim.

Ala może się to wszystko skończy prędzej nawet, niż się spodziewamy. Sam tego wprawdzie nie czytałem ale opowiadano mi, iż jedno z pism doniosło, że na dzień 18. grudnia przygotowuje się jakieś trzęsienie ziemi i różne inne awantury z powodu zetknięcia się ziemi z jakąś kometa, czy innym dyablem. Ponieważ zaś równocześnie zrobiła się na słońcu dziura i to tak wielka, że się w nią zmieści cała ziemia, kto wie, czy się tam pewnego poranku nie znajdziemy. A że, jak mówimy, na słońcu ma być podobno bardzo ciepło, łatwo będzie obejść się bez węgla.

Do 18. grudnia nie tak znówu daleko, przekonamy się więc, czy nas znówu nie wykiwnie.

Przed kilkunastu laty, już w czasie wojny, jakiś astronom-amator, gdzieś z pod Sącz, zapewniał, że trzęsienie ziemi jest pewne. Dzięki Bogu, skończyło się tylko na strachu, może więc i teraz będzie tak samo.

Bo, przyznam się, trzęsienie ziemi to nie może być nic przyjemnego. Człowiek nie wie wtedy co zrobić ze sobą. Mieszkać na piętrze, to źle, gdyż się można nagle znaleźć w piwnicy, na parterze, także niedobrze, bo się znówu musi być przygotowanym na tę ewentualność, że cała kamienica może się na łeb zwałić. Na dzień 18. grudnia należałoby się zatem „wywalać“ na Błonia i tam czekać cierpliwie, co się stanie. A w enocie cierpliwości jesteśmy już tak wyćwiczeni, że nam to nie robi różnicy, choć poczekamy jeden dzień, lub nawet dwa.

Wspomniałem wyżej o *exposé* pana Paderewskiego, muszę się jeszcze do niego wrócić. Prezydent omawiał ogólną sytuację, obecne stosunki wewnętrzne i zewnętrzne, ale z mowy jego nie dowiedzieliśmy się właściwie nic nowego, nie wiemy zwłaszcza co się stanie z Galicyą wschodnią. Nasi sprzymierzeńcy, Anglicy, brnądzą nam na każdym kroku, o szem zresztą pisałem w poprzedniej kronice, a pan Paderewski powtórzył mniej więcej to samo.

Co do naszego stosunku do Anglii, to można zastosować przysłowie: „Strzeż mnie Panie od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę!“

Mówił pan prezydent i o aprowizacji i zapewnił, że rząd uczyni wszystko, aby rolników zmusić do dostawy wyznaczonego kontyngentu zbożowego, choćby nawet przy użyciu siły, której okazuje stały brak!

Kronikarz, gdyby go o radę zapytano, podałby projekt i to bardzo skuteczny. Każdemu z agraryuszów, o ile ocłaga się z dostawą, zastanawiając się brakiem rąk do pracy i innymi wymówkami, a tymczasem puszcza zboże na pasek po cenach wprost horrendalnych, zamiast wojska posłać teściową, jeżeli zaś jest kawalerem, starą panną i niech mu dotąd siedzi na karku, dopóki się z tego nie wywiąże, do czego jest zobowiązany. Nie nigda wątpliwości, że magazyny aprowizacyjne zapętląby się bardzo prędko.

Z drugiej jednak strony nie dziwię się zupełnie agraryuszom, że się ocłagają z dostawą, gdyż rząd wyznaczył im za ziemiopłody tak marne ceny, iż prosiu nie pokrywają kosztów produkcji. Wobec tego każdy z nich woli sprzedać np. korzec żyta w pasku za tysiąc pięćset marek i więcej, niż legalnie za sto czterdzieści.

Zupełnie tak samo postępował ś. p. rząd austriacki. Przy rekwizytych stawiał niskie ceny, a potem, gdy była bieda, sypał tysiącami, a na tem robili najlepszy interes pośrednicy.

Pan minister aprowizacji, który jest sam relaktem,

więc ma zawodowe wykształcenie, powinien się energicznie zabrać do dzieła i chwycić bez pardonu za łeb te czynniki, co to miały niby pomagać i iść na rękę, a w samej rzeczy przysparzały tylko trudności. Musi być prowadzona zgodna i jednolita akcja, gdyż w przeciwnym razie zwłaszcza my, mieszcuchy, wyginieemy z głodu, a ktoś wtedy będzie płacił podatki, aby po tem miało się z czego asygnować zasiłki dla tych, którym się pracować nie chce, bo są zdania, że we welnej Polsce wolno też każdemu próżnować, a rząd powinien się starać o to, aby każdy taki obywatelnieroba miał z czego żyć, bo inaczej będzie robił awantury, a znajdując się tacy i w samym rządzie i sejmie, co go wezmą w obronę i przedstawią jako nieszczęśliwą ofiarę obecnego, przestarzałego systemu, gdy oni chcieliby świat pchnąć na nowe tory.

Sejm ma się podobno w najbliższym czasie zająć uchwaleniem konstytucji, która jest już w komisji i to w drugiem, poprawnem wydaniu.

Jak ona się przedstawia, tego dotąd nie wiemy, warszawskie dzienniki doniosły tylko tyle, że autorem jej jest profesor Kasznica, że przewiduje ona pięciopraciotnikowe prawo wyborcze do Sejmu, z wyłączeniem osób wojskowych i urzędników, którzy w ten sposób pozbawieni będą przyjemności korzystania z kłobasy wyborczej, a na czele państwa stawia naczelnika, nie odpowiedzialnego za swą działalność, a wybranego przez cały naród na lat siedm.

Jak długo będzie komisja radzić nad owym projektem, tego powiedzieć nie można. Wiemy tyle, że panom we Warszawie bynajmniej się nie spieszy, a chiopska większość sejmowa, załatwiwszy się z reformą rolą po swej myśli, jest już ze siebie zadowolona i o resztę nie dba.

W tym czasie, gdy nowy projekt konstytucji jechał do komisji, zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać, że niektóre sfery dają u nas do zaprowadzenia monarchii. Złazszcza *Naprzód* był z tego powodu ogromnie oburzony i dał temu wyraz w artykule, skierowanym pod adresem tych, którzy poważaliby się marzyć o szem podobnem.

Rozmawiałem w tej kwestyi z jednym z wybitnych ludowców z pod znaku *Piasta* i dowiedziałem się od niego, iż w ostatecznym wypadku stronnictwo nie miałoby nic przeciw monarchii, ale pod warunkiem, że król-jegomość wyszedłby z jego łona. Mógł być ongiś Piast królem, ciekawa rzecz, dlaczego nie miałby nim być Witos lub kto inny. Kandydatów nie branie.

I ja jestem zwolennikiem idei monarchicznej. Mam już nawet kandydata na tron i to, mojem zdaniem, zupełnie odpowiedniego. Jest nim nie kto inny, jak Nikita, z sławetnego rodu Njegnuszów-Patrowiczów, emerytowany król czarnogórski i znany hodowca nierogacizny.

Obecnie jest bez posady, przyjąłby więc koronę na bardzo przystępnych warunkach, a dotychczasowa jego działalność daje zupełną gwarancję, że nie byłby malowanym królem. Prywatnie odniosłem się doń w tej sprawie i otrzymałem odpowiedź, że decyduje się na to i gotów jest zjechać do nas w najbliższym czasie.

Powołanie go na tron miałoby bardzo dodatnie następstwa. Jako teść większej części koronowanych głów Europy, ma on bardzo rozgałęzione stosunki, na polityce się zna, wymagań wielkich nie stawia, energii mu nie brak. Co zaś najważniejsze, jako zawołany hodowca nierogacizny, zamierzając do tego dzieła go spodarstwa wiejskiego przeszczerpić i na nasz grunt, czego następstwem będzie zapobieżenie brakowi tłuszczów i mięsa wieprzowego, tak się nam obecnie dajacemu we znaki.

Być może, że król Nikita, przyzwyczajony do gór, uczuliby się jakoś nieswoje w Warszawie, pośród równi. Ale i na to jest rada, o tem nie zapominałem. Stolicę można będzie przenieść z Warszawy do Zakopanego, które przecież nazywamy „letnią stolicą Polski“. Odtąd byłoby nie tylko letnią, ale wiosenną, jesienną i zimową, zjeżdżaliby tutaj dyplomaci, wobec czego ruch turystyczny ożywiłby się znacznie.

Projekt ten podaje komisji konstytucyjnej do rozpatrzenia. Będzie przyjęty, to dobrze, zostanie odrzucony nie będzie miał do nikogo pretensyi, zwłaszcza, że wobec króla czarnogórskiego nie mam żadnych zobowiązań. Zapytałem go od siebie, czyby... gdyby..., on mi na to odpowiedział: „I owszem!... Nie muszę być koniecznym, gdyż mam już kilka innych ofert“.

Myślę przecież, że pod rządami króla Nikity pod alejodnym względem byłoby lepiej, niż jest obecnie. Jest to człowiek silnej woli i kpić ze siebie nie pozwoli, o ile zaś rozchadzał się o egzekutywę, to nie żaluje nawet bata, aby miały posłuch jego zarządzenia.

A teki pan przydałby się nam w Warszawie. Z pewnością dałby sobie radę z różnymi strajkami, pogodziłby między sobą stronnictwa, wprowadził ład i porządek, uregulował finanse, postarał się o większą sejmową i t. d.